

## Bańkowski Konrad

### Wielkie, magiczne... hm...

Z „Fahrenheit”

– Wiosna... – mruknął Abecedyx z poważną dozą niechęci, po czym dał nura. Potężny kawał ułamanej krokwi – która, poddana olbrzymim naprężeniom, trzasnęła przed sekundą – przefrunął dokładnie przez miejsce, w którym jeszcze przed chwilą znajdowała się łysa głowa Abecedyxa. Belka wirowała z zawrotną prędkością wokół własnej osi, powietrze zaśpiewało wcale melodyjnie, a na wszystkie strony sypały się drzazgi. To już było naprawdę niebezpieczne. Zresztą kilkanaście minut wcześniej dobitnie przekonał się o tym bednarz, który podszedł o te trzy kroczyki za blisko. Rozmiar tego błędu uświadomiła mu okienna rama, która wystrzeliła z krzywiącej się ściany, niczym zgięta karta do gry spomiędzy palców. Po centralnym trafieniu w czoło bednarz nie miał prawa ustać na nogach. Co więcej, nie miał nawet prawa uchować się świadom. Konieczna była interwencja gwardzistów, którzy w sile dwóch chłopca przyskoczyli, złapali bezwładne ciało za to, co im tam w ręce wpadło i powlekli nieprzytomnego bednarza po bruku w bliżej nieokreślone miejsce. Najprawdopodobniej do jednego z pobliskich burdeli, bo przybytki te charakteryzowały się między innymi całkiem przyzwoitą opieką medyczną. Ba! Najlepszą w mieście wręcz, bo Hurenburg sławił się przede wszystkim niezwykle ekskluzywną obsługą relaksacyjną, zaś na dobre imię miasta pracował tu w pierwszym rządzie nad wyraz zadbany, pod każdym względem zdrowy, personel. Gwardziści mogli więc zostawić biednego bednarza w naprawdę profesjonalnych rękach cyrulika i czym prędzej powrócić na miejsce przedstawienia. Kiedy znów zasilili pokaźny tłum gapiów, Abecedyx stał już z kamienną twarzą na swym posterunku (choć cofnął się o kilka dobrych kroków) i ze stoickim spokojem obserwował rozgrywające się po drugiej stronie ulicy brewerie.

Trzeba przyznać, że już sam widok był straszny. Naprawdę. Ale nie najstraszniejszy. Najgorszy był dźwięk. Potworny trzask naprężanego i pękającego drewna, upiorny chrobot trących o siebie kamieni, a co jakiś czas dochodził do tego wszystkiego głośny łomot wylatujących przez okna sprzętów oraz walących się w środku ścian czy stropów. Pomijając Abecedyxa oraz jego krasnoludzkiego Asystenta, wszystkim gapiom jeżyły się włosy na głowie, a nie jednemu dodatkowo trzęsło się to, czy owo. Nawet gwardziści nie czuli się w tej sytuacji zbyt tego, ale regulamin na szczęście trzymał ich w ryzach, więc starali się wyglądać tak, jakby nic wielkiego się nie działo. Kapitan patrolu, który pierwszy zabezpieczył teren, podszedł do Abecedyxa i zupełnie otwarcie, a więc niezbyt regulaminowo, otarł ściekający spod błyszczącego kasku pot. Zatrzymał się o pół kroku za ramieniem Abecedyxa, zapatrzył się na szaleństwo odbywające się po drugiej stronie ulicy i wyciągnął zupełnie już nieregulaminowego papierosa.

– Mistrzu – zaczął po pierwszym, odprężającym maszku – widzieliście już coś podobnego?

Abecedyx skrzywił się. Jego chuda, zylasta, wyraźnie niemłoda twarz miała nieustanną tendencję do skrzywień, grymasów, zmarszczeń i nieprzyjemnych uśmiechów. Kapitan, stojąc lekko z boku i za nim, nie mógł dojrzeć tej kalekiej parodii uśmiechu, doleciały go jedynie słowa wypowiedziane głosem wyraźnie oszlifowanym przez zbyt chłodne napitki.

– Cóż... – zaczął Abecedyx – podobnego, pytacie? Wiele razy. Onegdaj przy gościńcu w jednej takiej kępie krzaków dojrzałem waszego kowala posuwającego jakąś dziewczuszkę. A z kolei dziś rano tuż pod oknem mojego pokoju kotek grzmocił kotkę. Innym razem wróbel, wiecie, taki malutki... Skąd to się w takim kurduplu tyle zawziętości bierze? Zresztą nieważne. Jeśli więc pytacie, czy widziałem coś podobnego, to odpowiem, że i owszem, setki razy wręcz. Ale jeśli spytacie, czy kiedykolwiek w życiu widziałem

trzy piętrowe kamienice w stylu późnokalezjańskim, pieprzące się jak dwa króliczki, to z całą stanowczością odpowiem, że nie. Jak długo żyję, nie widziałem, a żyję długo.

– Znaczy, co, Mistrzu, nie pomożecie tu nic?

– A co tu pomagać, kapitanie? To już ruina, nic z tego nie będzie. Raz, że tej z brązowym dachem i tak nie wstawimy z powrotem w dół, z którego wylazła z całym fundamentem, dwa, że tu już żaden remont nie ma najmniejszego sensu. Ja to bym może nawet coś dał radę zrobić, ale wcześniej, dużo wcześniej, a jak mnie zawołano, to, że tak powiem, już im się nieźle z kominów dymiło. Radziłbym tylko pilnować, żeby nikt nie podchodził i niech się w gruzy zadziubdziają. Będzie mniejszy kłopot z uprzątnięciem... Bo nawet jeśli, to co? Za późno, żeby cokolwiek uratować, obie konstrukcje, widzi mi się, poważnie naruszone, tylko patrzeć, jak ta z czerwonymi firaneczkami gruchnie... Poczekać, mówię, poczekać.

– Znaczy, przejebane – kapitan sprowadził rozmowę na grunt, który wydawał mu się najbardziej swojski. – Dobrze chociaż, że ubezpieczone. Tu, wiecie, niby spokojnie, dobra dzielnica, kli...ehm turyści dyskretni i kulturalni, ale konkurencja duża, oj duża. Zawsze lepiej ubezpieczyć – rozgadał się gwardzista. Abecedyx pokiwał z uznaniem głową.

– No widzicie. Tym bardziej sensu nie widzę. A zresztą... czy to moja sprawa? Przejazdem byłem, w odwiedzinach...

– W odwiedzinach? – zdziwił się kapitan. – Pierwsze słyszę, żeby ktoś w Hurenburgu miał kogo odwiedzać. – Kapitan spojrział na Abecedyxa i, widząc jego zniesmaczony wzrok, urwał swoje rozważania. – A zresztą – dopowiedział sam sobie – wasza rzecz kogo i gdzie odwiedzacie. No tak... przejazdem, znaczy.

– Właśnie, kapitanie. W każdym razie, jak wszyscy chętnie popatrzę i wyjeżdżam. Miałbym tylko prośbę, kapitanie.

– Tak, Mistrzu?

– Jak się to przedstawienie skończy, chciałbym tylko jeszcze podejść tam i się rozejrzeć. Wiecie, ciekawość taka zawodowa. I chciałbym, żeby ludzie się za bardzo nie kręcili.

– Mistrzu...

– Tak?

– Wiecie... to jednak nie codziennie się takie rzeczy... Ludzie się mogą niepokoić. Poza tym, prestiż miasta, wiecie. Wyście tego nie widzieli, ale jak oni stamtąd pryskali. I z jednej, tej co się z gruntu zaczęła wrywać, i z tej drugiej też zaraz, jak już ta pierwsza na tę drugą wlaźła. Wiecie, w takiej chwili, wcześniej rano było, nie wszyscy jeszcze w przyodziewku. Radca van der Shlapke na przykład... – kapitan zorientował się nagle, że wypowiedział właśnie o cztery słowa za dużo. Przełknął ślinę, odetchnął dwa razy, przetarł twarz szorstką dłonią. – No, w każdym razie dla interesu to nie najlepiej, jak się takie rzeczy dzieją. Trudna sprawa, no wiecie, jakby tam coś było, jakby się dało dowiedzieć, co to za lichy... Takie rzeczy na co dzień się nie dzieją – powtórzył nie bardzo wiadomo, czy chcąc się w ten sposób uspokoić, czy raczej próbując się usprawiedliwić przed przyjezdnym. Znaczącym przyjezdnym.

– Rozumiem. – Abecedyx kiwnął głową. – Jeśli się czegoś dowiem, dam znać. Żaden problem. O ile coś znajdę, oczywiście.

– Oczywiście.

Tymczasem smutne pandemonium dobiegało końca. Najpierw coś stęknęło głośno i nieomal żałośnie. Potem na ścianie kamienicy znajdującej się pod spodem pojawiła się bardzo wyraźna rysa. A potem

wszystko gruchnęło, przez ulicę przetoczył się grzmot, uniósł się tuman kurzu tak wielki, że przez kilka minut nic nie było widać, a dwoje niecodziennych kochanków, w isticie romantycznym stylu, znalazło kres związku we wspólnym, miłosnym gruzowisku. Zapadła cisza.

– I chuj – skwitował krasnolud, Asystent Abecedyxa pieczołowicie otrzepujący imponującą brodę z pyłu. Z każdym gwałtownym ruchem wzbudzał tak wielką chmurę kurzu, że zamazywały się kontury jego masywnej postaci. Abecedyx z żalością popatrzył na swoje ubranie. Skórzana kurtka i spodnie nigdy nie należały do najbardziej reprezentacyjnych sztuk odzienia. Jednak w tej chwili wyglądały jak najzwyklejsze łańchmany. Abecedyx zaczął zastanawiać się, ile czasu będzie musiał poświęcić, aby przywrócić im gustowną i wielce przez niego poważaną czerń. W okolicach drugiego tygodnia przestał liczyć i westchnął.

– Chodź – mruknął do krasnoluda – skoro już i tak jesteśmy upieprzeni, to nie zaszkodzi nam małe niuchanko w gruzowisku.

Krasnolud wzruszył ramionami i trzepnął się jeszcze kilka razy po brodzie. Ale i tak miał świadomość, że jedyne co może w ten sposób uzyskać, to żłudne poczucie odzyskanej godności. Walka z brudem takimi metodami była z gruntu skazana na porażkę.

– Bądź tak dobry i skocz do bu... zajazdu po instrumenty. A ja się wstępnie rozejrzę. Kapitanie! – Abecedyx odwrócił się w kierunku postaci, która rękawem kaftana, zakurczonym jak wypchany mastodont w miejskim muzeum, próbowała doczyścić niegdyś błyszczący w słońcu kirys. Równie dobrze można by próbować wykapać świnię w borowinie. – Kapitanie! – powtórzył Abecedyx – powiedzcie ludziom, żeby się tam nie pchali. Potrzebuję kilku minut spokoju i niech nikt mi się tam nie pałęta z Aurą. Muszę mieć czysto w promieniu jakichś, ja wiem... piętnastu, dwudziestu metrów, dobra? Czyli, żeby gwardziści też mi się nie kręcili, bo gównu z tego wyjdzie.

Abecedyx obciągnął kurtkę i ruszył w kierunku gruzowiska.

– Aha! – krzyknął jeszcze do kapitana, który mimo wszystko oprzytomniał i już wydawał swoim gwardzistom rozkazy – tylko przepuścić mi Asystenta, jak wróci, jasne?

– Jak to? – zdziwił się kapitan. – A on Aury nie zakłóca?

Abecedyx stanął zdziwiony. Często zapominał, że nie wszystko, co jest oczywiste dla niego, musi być również wiadome innym. W myślach przeklął sam siebie za odruchową chęć zrugania gwardzisty.

– Nie, nie zakłóca. Przecież to krasnolud. Krasnoludy mają się do magii jak psia dupa do orderów, nie wiedzieliście?

Wzmiankowany krasnolud, nie psia dupa bynajmniej, powrócił po dobrych trzydziestu minutach. Nie sprawiał wrażenia, jakby się spieszył. Świadczył o tym również wygląd – krasnolud w międzyczasie zdołał doprowadzić się do jako takiego ładu. Wprawdzie w dalszym ciągu szczegóły odzienia; barwa, a nawet fason kryły się pod grubą warstwą kurzu, jednak włosy i broda najwyraźniej zostały bardzo starannie wyszczotkowane. Abecedyx nie miał mu tego za złe. Doskonale znał tryb pracy swojego Asystenta i zgadzał się nań, mając pełną świadomość jego zalet, które z nadwyżką rekompensowały drobne przywary. Wśród nich można by wymienić chociażby tę, że bez najmniejszego stęknienia krasnolud przytachał torbę z podręcznym oprzyrządowaniem Mistrza – solidny kuferek sięgający wagą czterdziestu kilogramów. Poza tym dzięki umiarkowanemu pośpiechowi krasnoluda Abecedyx miał trochę czasu dla siebie, mógł dokonać pierwszych oględzin w absolutnym spokoju. W pierwszej kolejności oczywiście zabrał się za wyniuchiwanie Aury. Wielu Mistrzów na jego miejscu w ogóle by tej czynności poniechało. Cudów nie ma, jeżeli więc dwie pozornie niczym się nie wyróżniające kamienice nagle urządzają sobie koitalną zabawę o poranku, to w grę może wchodzić wyłącznie Aura. Abecedyx, w przeciwieństwie do wielu swoich kolegów po fachu, w pełni sobie na miano Mistrza zasłużył. Gdyby nie łysa czaszka, przynajmniej skronie miałby już solidnie siwe, a większość przeżytego czasu poświęcił na szkoleniu się w Sztuce, ale również i na empirycznym badaniu Aury. Poważna część Mistrzów odpuszczała sobie tę drugą dziedzinę,

zadawał się samym opanowaniem zasad Sztuki, Aurę traktując jako bezwolne narzędzie mające spełniać ich zachcianki. Abecedyx, bazując na doświadczeniu własnym i badaniach jemu podobnych, nielicznych Mistrzów, wiedział, że to właśnie Aura jest siłą nadrzędną, a Sztuka jedynie jednym z jej przejawów. Zrozumienie Aury dawało więc umiejętność o wiele pełniejszego poznania Sztuki, co więcej, czasem pozwalało na dotknięcie dziedzin poza samą Sztukę wykraczających. Dlatego też Abecedyx nigdy nie wyrwał się z wykorzystaniem Sztuki, rozpoznanie Aury poprzedzało wszystkie jego poczynania. Kilkukrotnie zresztą uratowało mu to życie.

Oględziny gruzowiska w pierwszej chwili przyniosły tylko jedną cenną informację. To, co wydarzyło się w tym miejscu kilka godzin wcześniej, nie było dziełem przypadku. Aura nie zgęstniała nagle w tym przypadkowo wybranym miejscu i nie kazała dwóm murowanym chałupom zabawić się jak chłop z babą na sianie. To, co udało się Abecedyxowi ustalić, wskazywało wyraźnie, że miało tu miejsce wykorzystanie Sztuki. Ktoś, w niepojętym dla Mistrza celu, nakazał trzypiętrowym kamienicom w stylu późnokalezjańskim radośnie poswawolić. Abecedyx obracał w palcach pokruszone kamienie, brał w palce drzazgi z połamanego drewna i tropił w Aurze ślady czyjejś obecności. Póki co wyraźne było jedynie jej istnienie. Charakter, bez dokładniejszych pomiarów nie dawał się określić.

Krasnolud zatrzymał się o kilka kroków od gruzowiska. Nie był typem pyszałka, nie eksponował ich nad miarę i nie podtykał nikomu pod oczy, ale skórę na buty ściągnął ze smoka osobiście. Więc o nie dbał. Bez słowa postawił kufer na ziemi i zaczął rozpinać sprzączki spinających go pasów. Tylko on i Abecedyx mogli dokonać tego bezkarnie. No i oczywiście inne krasnoludy, gdyby któremukolwiek przyszło kiedyś do głowy zainteresować się cudzym bagażem. Historia milczała o takich przypadkach. Natomiast ci, którzy mimo ostrzegawczych wyładowań, głośnych trzasków i delikatnych kopnięć elektrycznych nadal majstrowaliby przy ekwipunku tysego Mistrza, z pewnością znaleźliby w niej swe miejsce. Może nie w annałach, ale w piwnych opowieściach z całą pewnością.

Kufer krył w sobie wiele cudowności. Na przykład przepięknej urody portret niejakiej Petrunelli z Alcborg, której wprawdzie Abecedyx nigdy nie widział osobiście, ale jej podobizny sprzedawały się świetnie. Co ciekawe, wyłącznie wśród tych, którzy jej nie widzieli osobiście. Była też zacna flasza śliwowicy, kopciuch z tytoniem, bibuły do kręcenia papierosów i szczoteczka do zębów. Oczywiście oprócz tego, całe instrumentarium niezbędne Abecedyxowi do pracy.

Mistrz, widząc, że wszystko już z grubsza gotowe, zlązł z kupy gruzów, w którą obróciła się płomienna miłość i zabrał się do dokładnych pomiarów. Duża część gapiów zdążyła się już rozejść, lecz kilka osób, utrzymywanych na dystans przez sumiennych gwardzistów, wyciągało szyje, aby dostrzec, co też Mistrz będzie robił. Abecedyx w pierwszej kolejności powyciągał wszystkie potrzebne mu rzeczy, ułożył na aksamitnej chuście, którą w tym celu przechowywał złożoną na wierzchu w kufrze i, sięgając po kolejne elementy, zaczął składać skomplikowany instrument. Jego główną częścią wydawała się być spora, okrągła tarcza, wyposażona w kilka oddzielnych podziałek i odpowiadającą im ilość wskazówek. Jej obudowa, jak i reszta elementów wykonane zostały z miedzi, przez co bezustannie rzucały dokoła żółtawe odbłaski. Abecedyx przymocował tarczę do średniej wielkości skrzyneczki, potem umieszczony na długim pręcie jakiś wiatraczek, za nim jeszcze parę części, o których trudno byłoby cokolwiek konkretnego powiedzieć, a na koniec ustawił obok nieduży kołowrotek. Połączył go ze skrzyneczką kilkoma przekładniami i kiedy cały aparat stał już gotowy do działania, Mistrz wyciągnął za siebie rękę ani na moment nie unosząc głowy i nie oglądając się. Dla jego Asystenta był to wystarczająco wyraźny sygnał.

Krasnolud raz jeszcze sięgnął do kufra i wydobył zeń nieduże, drewniane pudełko, w którym coś szeleściło. Włożył je Mistrzowi w rękę, a ten ostrożnie przeniósł je i powolutku otworzył. W środku siedziała zaspana koszatniczka. Abecedyx uśmiechnął się do gryzonia, powiedział kilka cichych słów, a kiedy zwierzak zaczął energicznie strzyc wąsikami, Mistrz wyjął go z pudełka i umieścił delikatnie w kołowrotku. Koszatniczka ruszyła i wiatraczek nad aparatem zaczął się obracać. Abecedyx pozwolił, by instrument osiągnął właściwe obroty i, tym razem już sam, sięgnął do kufra. Wyciągnął z niego kolejny miedziany przyrząd – tuleję, przywodzącą na myśl lunetę, ale znacznie krótszą i o wiele grubszą. W dodatku zaopatrzoną w drewniany uchwyt. Mistrz w skupieniu zaczął spoglądać przez niby lunetę na gruzowisko, a równocześnie rzucał okiem na wskazania strzałek na tarczy. Od czasu do czasu regulował coś z boku aparatu za pomocą trzech pokrętełek. Krasnolud w tym czasie stał z boku z rękami założonymi na plecach i kiwał się na piętach. Spoglądający z oddalenia ludzie nie mieli najmniejszych wątpliwości – profesjonaliści. Po kilku minutach Abecedyx odłożył niby lunetę i spojrzął w kierunku swego asystenta.

– Tablice – mruknął cicho.

Krasnolud schylił się niespiesznie i ze specjalnej kieszeni na wieku kufra wyciągnął gruby, oprawny w czerwoną skórę tom formatu przyzwoitego atlasu. Od razu też wyjął równie gruby brulion i węglowy ołówek. Abecedyx znów przejął to wszystko, nie odwracając się ani na moment od aparatury. Skupienie było widoczne w każdym jego ruchu, sprawiał wrażenie, jakby za jego plecami można było przeprowadzić stado małą z bębenkami, a on i tak niczego by nie zauważył. Na przemian spoglądał na tarczę aparatu, kartkował atlas w poszukiwaniu odpowiednich tablic i gorączkowo, w sposób z pewnością odległy od kaligrafii, zapisywał coś w brulionie. Trwało to wszystko na tyle długo, że resztki gapiów uznały, iż wszystko ciekawe, co miało się tego ranka wydarzyć, już się wydarzyło, i teraz trzeba tylko czekać grzecznie na kolejną sensację, która zdoła ożywić ich szarą, mozolną i beznadziejną egzystencję mieszkańców miasta zbudowanego na burdelach, żyjącego burdelami i z burdeli, i w którym nawet burdele kopulują na ulicach... Chwilę potem zwinęła się również część gwardzistów, gdyż nie mieli już kogo powstrzymać przed zbliżaniem się do miejsca katastrofy budowlanej. Czy też raczej miłosnej. Pozostał jedynie kapitan z grupą, mającą zająć się zabezpieczeniem terenu aż do przybycia władz miejskich, które powinny obejrzyć skutki incydentu i podjąć decyzję, co dalej. Ich nieobecność do tej pory mogła być tłumaczona jedynie tym, że większość rajców jeszcze kilka godzin temu, w neglizmu nie licującym z powagą ich urzędów, czmychała przez drzwi a nawet niektóre okna z ruszonych z posad świata budynków. Biorąc pod uwagę fakt, że spora liczba przechodniów miała możliwość dosyć dokładnie pooglądać majtające się tu i ówdzie insygnia władzy, zupełnie nie dziwiła opieszałość i powściągliwość, z jaką rajcy ściągali na miejsce zdarzenia. I całkiem słusznie, jak miała pokazać niedaleka przyszłość w miejscowych knajpach, jako że już samo słowo "rajca" dość zabawnie się rymuje.

Tymczasem Abecedyx dokończył swoje pomiary, wstał, rozejrzał się nieco nieobecny wzrokiem po okolicy i oszczędnym ruchem ręki przywołał do siebie kapitana gwardii, który właśnie zastanawiał się, czy może sobie pozwolić na oznaki zniecierpliwienia wobec Sztuk Mistrza. Zakończenie prac wybawiło go z rozterki, a być może uchroniło nawet od obrażeń, ponieważ Abecedyx w pewnych kwestiach bywał bezkompromisowy. Kapitan, widząc wyraz twarzy Mistrza, postanowił zrezygnować również z okazywania powagi swojego urzędu i po prostu podbiegł świńskim truchtem, bo tylko na tyle pozwolił mu oficerski ubiór i rapier przy boku.

– No cóż, kapitanie – zaczął Abecedyx zmęczonym głosem, zanim jeszcze tamten się zatrzymał – wieści dobrych nie mam...

Stary gwardzista zmartwiał. Sam nie był pewien, z czyich ust słowa te brzmią mniej zachęcająco – Mistrza, czy starej cyganki. Na wszelki wypadek nie dopytywał, uznawszy, że Mistrz i tak sam będzie chciał pochwalić się tym, co ustalił. Nie zawiódł się.

– Widzicie, moje możliwości nie są takie małe. Nie będę się przechwalał, bo to nie licuje z powagą mojej profesji. Niemniej, stoi przed wami w tej chwili jeden ze zdolniejszych Sztuk Mistrzów chodzących po ziemi. I muszę przyznać, że cały mój kunszt, całe moje doświadczenie i cały mój talent, nie na wiele się tu zdały. Wiecie na pewno sami, że to, co się tu dzisiaj stało, wydarzyć się mogło wyłącznie za sprawą Aury... Ponieważ jest to raczej niemożliwe, aby Aura nagle zgęstniała w jednym miejscu i sama z siebie pchnęła w miłosne objęcia dwa burdele, zachodzi podejrzenie, że użyto tu Sztuki. I to się zgadza, tyle jestem w stanie wyczuć. Oczywiście, Sztuka sama w sobie nie istnieje. Zawsze musi być ktoś, kto jej użył, to nie podlega dyskusji. Każdy Mistrz używa Sztuki w inny, charakterystyczny dla siebie sposób. Osnowa Aury poddaje się do pewnego stopnia jego woli i jego umysłowi, a ponieważ każdy z nas dysponuje innym umysłem, to i Sztuka będąca połączeniem tych dwóch ezoterycznych pierwiastków – Aury i ludzkiego ducha zachowuje reminiscencje osobowości Mistrza... – Abecedyx dojrzał wyraz twarzy pocziwego gwardzisty i zreflektował się. – Czyli... – zaczął próbując odzyskać wątek – czyli... jak by to... no, właśnie! Czyli, że każdy Mistrz posługujący się Sztuką zostawia ślady. Dla zwykłego człowieka są one równie widoczne, co kocie szczyzny na dachu, ale dla innego Mistrza są dość wyraźne. Taaak... kominiarz na śniegu byłby tu dobrą metaforą. Albo jeszcze lepiej, trzymając się zrozumiałych dla was porównań, jak te same kocie szczyzny, ale dla innego kota. Czyli, że wiadomo, kto, kiedy, w którą stronę przechodził, co jadł na śniadanie, ile ma lat, kiedy ostatni raz się mył i ile ma pcheł...

– To Mistrzowie mają pchły?!? – wyrwało się kapitanowi, który natychmiast zdał sobie sprawę z niestosowności swoich słów, i jak małe dziecko zasłonił usta dłońmi. Abecedyx popatrzył na niego odrobinę nieprzytomnie.

– Nie – odparł siląc się na najgłębszy spokój, na jaki było go w tej chwili stać – nie mają. W każdym razie ja na pewno – dodał i sugestywnie przesunął dłoń po swej łysej czaszce. – Tak więc, kapitanie, nie zawracając już sobie i wam dupska metaforami, porównaniami i wszystkimi innymi zbędnymi objaśnieniami, mówię wam wprost: nie wiem, kto to zrobił. Nie wiem i nie mam jak się dowiedzieć. Nie moimi metodami. Czyli, że pozostaje wam zupełnie, absolutnie, najzwyczajniej w świecie, rutynowe śledztwo z wykorzystaniem rutynowych metod. Tak więc życzę miłej zabawy, bo ja stąd wyjeżdżam. Dziś po południu, najpóźniej jutro rano.

Kapitan chciał zaprotestować, powiedzieć coś, dopytać... Już, już otwierał usta, aby spróbować zatrzymać Mistrza jeszcze na chwilę, ale w tym momencie do dyskusji wtrącił się Asystent, który poszedł do kapitana na odległość kopniaka, spojrzawszy prowokacyjnie w górę, w oczy gwardzisty i uśmiechnął się rozbrajająco.

– I chuj – powiedział krasnolud. Potem poszedł spakować ekwipunek Mistrza.

\*\*\*

Abecedyx leżał na łóżku i przyglądał się małej, grawerowanej tabliczce, którą obracał od czasu do czasu w zręcznych palcach. Miała przewiercony otworek, przezeń biegł cienki, ale mocny rzemyczek, a ten z kolei przywiązano do latarni powozu. Mistrz znalazł ją, kiedy zajrzał do wozowni, żeby sprawdzić, czy z jego wymuskany gigiem wszystko w porządku. Był w Hurenburgu raptem dwa dni, a zdążył już z różnych części pojazdu odwiązać pięć podobnych wisiorów. Wykonywane różną techniką, ryte, trawione, zwyczajnie malowane; jedna była drewniana, najwyraźniej pośledniejszego gatunku. Nie miała obrazka, sam tekst, w dodatku dość koślawie i z błędami wyrzezany kozikiem. Pozostałe dowodziły znacznie większej inwencji. "Przyczajona Muszelka" i "Pieścidołek" dawały się jeszcze jakoś strawić. "Remiza Markiza" przynajmniej czytelnie informowała o profilu. Drewniana "Smocza Jama", na szczęście pozbawiona ilustracji raczej nie zachęcała do niczego. Za to trzymane właśnie w ręku przez Abecedyxa "Siedem Palców" sprawiało co najmniej niepokojące wrażenie. Tym bardziej, że grawerowany obrazek przedstawiał jedynie uśmiechniętą tajemniczo niewieścią twarz. Pozostałe tabliczki bez zbędnej i nigdy w tym mieście niewidzianej pruderii, przedstawiały nader dosłownie wszystko to, czym można się było zajmować w reklamowanych przez nie lokalach. Większość spraw w tym mieście była przerażająco wręcz jednoznaczna. Abecedyx musiał jednak przyznać, że dla przyjeźdnego nie wszystko jest do końca jasne. Zastanawiały go na przykład wszechobecne dopiski "trzecia godzina gratis". Trzecia godzina czego? zastanawiał się Sztuk Mistrz. TEGO? Za trzecią godzinę TEGO powinni raczej wypłacać nagrody... No, przynajmniej w jego wieku. Albo chociażby te plakietki, czy tabliczki. W innych stronach już za same obrazki na nich ryte można by pewnie niezłe zarobić sprzedając je wynudzonym mężom, albo – jeszcze lepiej – dorastającym młodzieńcom, ot żakom na przykład.

Hurenburg w ogóle był miejscem trudnym do ogarnięcia. Owszem, pod pewnymi względami przyjemnym, zwłaszcza pod względem spędzania wolnego czasu, niemniej dziwnym. Już choćby przez to, że czystym. Charakter świadczonych tu ochoczo usług sprawiał, że o miasto dbano. Uciechy jako takie dostępne były wszędzie, ale tylko Hurenburg oferował uciechy na tak kulturalnym poziomie. Oczywiście nie tylko czystością Hurenburg zadziwiał przyjeźdnych. Dość powiedzieć, że w tym mieście nawet biblioteki wypełnione były jednym. I tylko tu piekarze wypiekali takie fikuśne bułeczki i rogaliki... Albo miejskie fontanny o przyciągających zafascynowane spojrzenia kształtach, te ławki w parkach zaprojektowane i wykonane tak, że człowiek ani pomyślał o siadaniu na nich w samotności, nawet nazwy ulic... W Hurenburgu nie dało się myśleć o niczym innym, zresztą nikt tu nie przyjeżdżał, żeby myśleć o czymkolwiek innym. Więc Abecedyx nawet nie próbował. Sam od czasu do czasu lubił pofolgować cielesności, choć w Hurenburgu był po raz pierwszy. Zawsze myślał, że aż takie folgowanie mu nie przystoi, ale odkąd zrozumiał, że jeśli nie teraz, to już raczej nigdy, machnął ręką na wstyd i pruderię. Zresztą jego Asystentowi też się co nieco od życia należało, a poza Hurenburgiem trudno było znaleźć

miejsce, w którym krasnolud mógłby się poczuć w pełni dopieszczony. No, może jeszcze w domu, u mamy, ale tu akurat chodziło nie tyle o rozkosze podniebienia i rodzinne ciepło, co o ciepło i rozkosze odrobinę bardziej literalne. I właśnie dlatego Abecedyx siedział w pokoju sam, kiedy rozległo się nieśmiałe pukanie. Mistrz przekonany, że domyśla się, kto stoi za drzwiami, odruchowo przeczesał palcami łysinę, jak zwykle zapominając, że materiał do przeczesywania skończył mu się już jakiś czas temu, przyjął pozę niedbałą, a nawet lekko wyzywającą, przykręcił knot w lampce naftowej, chuchnął w dłoń i raz jeszcze omiół wzrokiem pomieszczenie. Na sprzątanie i tak było już za późno, więc wygładził tylko wełnianą narzutę, na której się rozparł. Już miał otworzyć usta, ale zdecydował się na jeszcze odrobinę więcej śmiałości i szybciotko rozpiął kaftan. Wtedy dopiero, przyjmując najbardziej rozanielony wyraz twarzy, na jaki go było stać, rzucił stłumionym głosem:

– Prooooooszę.....

Drzwi otworzyły się o wiele zbyt zdecydowanie, biorąc pod uwagę nieśmiałość, z jaką w nie pukano. Stał w nich poznany rankiem kapitan. Abecedyx po raz pierwszy w życiu naprawdę, ale to naprawdę pożałował, że nie nauczył się zmieniać ludzi w żaby. Bo taką żabę na ten przykład, dałoby się wzbogacić o słomkę i dwa hausty powietrza, co definitywnie rozwiązałoby kwestię świadków tej, dość przecież krępującej sytuacji. A tymczasem jedyna żaba, z jaką Abecedyx miał w tej chwili do czynienia, to była ta, którą należało jakoś zjeść... Kapitan wyraźnie się wahał, ale w końcu podjął odważną decyzję. Ostatecznie, dla przyjemności tu nie przyszedł. W każdym razie nie dziś... Odważnie przekroczył próg i, nie czekając na żadne zaproszenia, podszedł do łóżka, na którym rozparł się Sztuk Mistrz. Potem trochę tego pożałował, bo w udawanie, że nie dostrzega mokrego pora, musiał włożyć tyle wysiłku, że na kilka sekund włosy przestały mu rosnać. W tym czasie Abecedyx, zapomniawszy, że w dalszym ciągu uśmiecha się cieleco, niczym szczerbaty do sucharów obmyślał możliwość "zdarzenia się" jakiegoś nieszczęśliwego wypadku. Jak na złość, pierwsze, co przyszło mu do głowy, czyli śmierć pod kołami rozpędzonego dylizansu pocztowego, mogłoby być kłopotliwe do wytłumaczenia, gdyby przytrafiło się w pokoju o powierzchni siedemnastu metrów. Na drugim piętrze.

– Mistrzu – wyszeptał kapitan przez ściśnięte gardło i przełknął ślinę. Rozległ się odgłos przypominający ścieranie się gastrolitów w żołądku strusia. – Mistrzu, nie jest dobrze...

Abecedyx zdążył się już nieco rozluźnić i, przede wszystkim, pozbyć się kretyńskiego uśmieszku. W tej chwili nic nie mogło go uczynić szczęśliwszym, niż wieść o pożarze całego miasta. No, może z wyjątkiem kilku najbliższych ulic stąd do rogatek.

– A cóż tam znowu? – mruknął niby niedbale, niby drapiąc się po widocznej spod rozpiętego kaftana klatce piersiowej. – Znowu jakieś sekscesy? – niby zażartował.

– No... trudno powiedzieć – zmieszał się kapitan. Przybiegłem, zanim przyjrzałem się z bliska. Ale to bez znaczenia – dorzucił szybko, widząc rodzącą się dezaprobatę w oczach Mistrza. – To... idzie tutaj. Pomyślałem, że uprzedzę... Rano mówiliście, Mistrzu, że gdyby wcześniej, to coś byście może poradzi. No to właśnie uprzedzam wcześniej. Jak wyjdziemy na dwór zaraz, to powinniśmy zdążyć. Ja... – obrócił się trochę niezdecydowanie i machnął ręką w kierunku otwartych drzwi – poczekam na dole.

– Dobrze, zaraz tam będę – Abecedyx ochłonął już trochę. Nie na tyle, żeby zapomnieć o morderczych planach, ale wystarczająco, aby ich realizację odłożyć na później. Kapitan wyszedł z pokoju, nie zapominając o taktownym zamknięciu za sobą drzwi. Abecedyx zmęczonym gestem potarł twarz rękoma. No dobra, legolasie... tfu, lowelasie, mruknął do siebie, nici z miłego wieczoru. A skoro już i tak wszystko diabli wzięli, to równie dobrze możesz obejrzeć, co tam się święci...

Z niechęcią, ale energicznie Sztuk Mistrz zapiął kaftan i wciągnął buty. Na ramiona narzucił jeszcze kurtkę i wyszedł. Na dole rezydowała jedynie pani Boosenhalter, niewiasta o równie zaawansowanym wieku, co i biuście. Jedno i drugie nadawało jej powierzchowności szlachetnego sznytu profesjonalistki. Abecedyx zorientował się już, że za niezwykle ujmującą i przemiłą osobowością krył się prawdziwy demon pedanterii, oraz niezmordowany kafar dyscypliny. Toteż nie spodziewał się, że uda mu się przemknąć nie

zagadniętym. W Hurenburgu praworządność miała równie specyficzny posmak, co Marcepanowe Kulki Dwighta, ze znaczącym uśmiechem sprzedawane w każdej apteczce, a przez personel burdeli zwane fachowo jebostójkami. A to oznaczało, że kapitan, aby wejść mógł zrobić tylko dwie rzeczy. Zdjąć swój błyszczący kask i uiścić opłatę, jak każdy, albo dokładnie wyłuszczyć pani Boosenhalter cel swojej wizyty, która i tak z pewnością najpierw upewniła się wśród dziewcząt, czy przypadkiem żadna nie wykonuje swych płomiennych obowiązków w obecności pana Sztuk Mistrza.

– *Heere Meister! Heere Meister!* – pani Boosenhalter zarezonowała z rozfalowanej głębi swych miseczek D++. Abecedyx aż się zjeżył. Gdzieniedzie.

– *Wees loos, Heere Meister?* Czy tshosz zhłego?

Abecedyx, sam się sobie dziwiąc, po raz kolejny słysząc akcent *Fhrehe* Boosenhalter oraz spoglądając na dwa pięknie wypiętrzone wzgórze jej autorytetu, pomyślał o trójzębie i rogatym hełmie. Czysty absurd, ale jakoś nie mógł się od tej wizji odpędzić. Czując, że jego wiek może nie znieść zbyt bliskiej obecności *Fhrehe* Boosenhalter i obu jej towarzyszek, zatrzymał się w pewnej odległości, z nadzieją, że okaże się ona wystarczająca.

– Ależ skąd, *Fhrehe* Boosenhalter – ukłonił się wytwornie. Jestem absolutnie pewien, że żadne niebezpieczeństwo nie grozi pani ani też pani, jakże gościnnemu, domowi.

*Fhrehe* Boosenhalter uśmiechnęła się i wypuściła z ulgą powietrze z płuc, a Abecedyx ze zdziwieniem poczuł, że w hollu zrobiło się jakoś luźniej.

– Z pewnością nic pani nie grozi – dodał jeszcze, dał drapak na dwór i...

...pożałował swoich słów. Kapitan stał tyłem do drzwi i spoglądał w górę ulicy biegnącej do starszej części miasta. Którą płynęło wolno coś dziwnego. Hurenburg ogarniał już zmierzch. Ciemność nie zapadła jeszcze nad miastem, ale zapłonęły już latarnie. W ich świetle połyskiwało coś, co sunęło ulicą wolno i niepowstrzymanie. Abecedyx w pierwszej chwili pomyślał o lawie, którą lata temu widział na własne oczy podczas jednej z podróży na południe. Jednak szybko zorientował się, że ocena była jednak błędna. Po pierwsze, omywane gęstą substancją domy nie stawały w płomieniach. Po drugie, kolor... Lawa żarzyła się czerwienią podczas, gdy to... było, no, raczej... białawe. Ludzie cofali się przed czołem fali, najwyraźniej żywo omawiając pełznący fenomen, jednak bez śladów paniki, czy choćby strachu. Abecedyx spojrzął na kapitana. Kapitan spojrzął na Abecedyxa. Obaj wzruszyli bezradnie ramionami. Kapitan podrapał się pytająco po kasku.

– Cóż – westchnął Sztuk Mistrz – chyba lepiej będzie przyjrzeć się temu z bliska.

– Czy to bezpieczne?

– A skądże ja mam wiedzieć? Sprawdźmy, zobaczymy.

Ruszyli rażno przed siebie. Po kilkudziesięciu krokach zbliżyli się na tyle, że wyraźnie słyszeli rozmowy posuwających się w ich kierunku gapiów. Substancja spływająca ulicą dała się stąd już znacznie lepiej obserwować. Abecedyx przystanął i zaczął się bacznie przyglądać. To, co ciekło między domami miało zdecydowanie glutowatą konsystencję. Sprawiało również wrażenie, że jest cholernie lepkie. Maż płynęła mozolnie, choć uparcie do przodu, jednak widać było, że jeszcze parę chwil i się zatrzyma. Nie była popychana przez kolejne fale, spływała tylko dzięki lekkiemu nachyleniu ulicy. Po jej przejściu widać było w świetle latarni lśniący, lepki ślad. Wyobraźnia Abecedyxa zaczęła pracować w kierunku, który w tych okolicznościach nie wydawał się zbyt atrakcyjny. Najchętniej odwróciłby się na pięcie i dał nogę, jednak obecność kapitana wymagała wykazania inicjatywy raczej ofensywnej, niż eskapicznej. Abecedyx, walcząc z ogarniającym go obrzydzeniem, podszedł jeszcze parę kroków bliżej. Znalazł się zaraz za plecami ludzi cofających się przed pełznącym plugastwem. I doznał szoku. Do jego nozdrzy dotarła woń, której zupełnie się nie spodziewał. Tym bardziej, że nie była to ta woń, której się spodziewał. Przepchnął się między



gapiami i podszedł całkiem blisko. Musiał teraz bardzo uważać, żeby glutowata fala nie wpełzła mu na buty. Wciągnął głęboko powietrze. No jak pragnę zakwitnąć, krzyczał do siebie w duchu, wanilia!

Kapitan ruszył wreszcie za nim i, pokrzykując na ludzi, żeby nie robili zbiegowiska, przepchnął się do Sztuk Mistrza. Stał obok i niepewnie wpatrywał się w zaskoczone oblicze Abecedyxa.

– Mistrzu... Mistrzu, co to jest?

Abecedyx otrząsnął się, spojrzął na gwardzistę. Rzucił okiem pod nogi, cofnął się o krok. Kapitan, niczym przedrzeźniający go mim, zrobił to samo.

– Cóż, kapitanie – uśmiechnął się Abecedyx. Pewnie myślicie, że dzięki znajomości Sztuki, zrobię teraz jakiś hokus pokus i się dowiem, prawda?

Kapitanowi było głupio tak po prostu przytaknąć.

– Niestety, Sztuka, bez długotrwałych analiz i badań na nic nam się nie zda. I dlatego – Abecedyx cofnął się jeszcze o krok – pozostaje tylko jeden sposób.

Sztuk Mistrz cofnął się jeszcze kawałeczek, pochylił i zaczerpnął palcem śluzowatej substancji. Była lepka, śliska i ciepława. Kapitan przypominał sobie, co jadł na obiad. Znow miał do niego bardzo blisko. Za plecami Mistrza zapadała nagle cisza. Abecedyx uniósł palec i z bliska powąchał substancję. Miała słodki, silnie waniliowy i jakby odrobinę mleczny aromat. Raz kozie wózek, pomyślał i wsadził palec do ust. Kapitan gwardii miejskiej natychmiast pożegnał się z ostatnim posiłkiem. Wnosząc z odgłosów, jakie rozległy się z tyłu również kilka innych obiadów nie zniosło dłuższej niewoli.

– Błeeee! Pfuj! Ohyda!!! Bghę.....! – poniosło się ulicą.

Abecedyx nie zwracał na to wszystko uwagi. Posmakował. Tak jak przypuszczałem, pomyślał i uśmiechnął się szeroko. Zaczerpnął jeszcze raz i wpakował sobie do ust większą porcję. Obrócił się w miejscu. Zdziwiony przyglądał się grupie ludzi rzygających jak koty, rzuconych przez konwulsje na kolana. Kto zdzierzył i ustał, krzywił się niemiłosiernie odwracając wzrok. Tych i tak była znaczna mniejszość.

– Alef, moi dfodzy – Abecedyx ciamkał uśmiechnięty – pfetef to jeft bufyń. Bufyń fanifiowy!

\* \* \*

Abecedyx siedział bosy w wygodnym fotelu i mokrą ściereczką czyścił buty, na które zdołał wpełznąć budyń. Po jego lewej stronie, w drugim fotelu zasiadł kapitan, zaś naprzeciw, po drugiej stronie stojącego na jednej... hm, nodze, stoliczka znaczną część przestrzeni zajmowała pani Boosenhalter. *Fhrehe* z rozanielonym uśmiechem na twarzy przysunęła się do blatu na tyle, na ile pozwalały jej na to warunki. Stolik miał odpowiednią wysokość, dzięki czemu na blacie mieściło się również to, co kazało *Fhrehe* Boosenhalter szeroko rozstawić łokcie, na których się opierała. W dłoniach okrytych delikatnymi jak westchnienie ómy rękawiczkami trzymała porcelanową salaterkę i łyżeczkę, której rozmiar sugerował, że na co dzień służy do liczenia ziarenek kawioru. Przysłuchując się rozmowie, w sposób niezwykle dystyngowany pałaszowała budyń. Podobna salaterka stała przez Abecedyxem. Kapitan wykręcił się od deseru twierdzeniem, że nie lubi słodczy.

– A to dziwne – odparł Sztuk Mistrz znad lepiącego się obcasa – znałem kiedyś ni mniej, ni więcej, ale właśnie pewnego porucznika straży, który mawiał, że każdy mężczyzna lubi słodczy, tylko nie każdy ma odwagę się do tego przyznać...

Kapitan spuścił wzrok, mając nadzieję, że zostanie mu to poczytane za skromność.

– No dobrze, zostawmy to... W zasadzie, kapitanie, jak was zwą?

– Meenedrufer! – kapitan strzelił pod stołem obcasami, zawadzając nogą o jedną z kulistych podpór stołowej... hm, nogi. Pani Boosenhalter uśmiechnęła się jeszcze szerzej i spojrzała na gwardzistę wzrokiem tak maślanym, że aż w promieniu kilku metrów zrobiło się mdło w powietrzu.

– Proszę mi zatem powiedzieć, *Heere Meenedrufer* – Abecedyx podniósł wzrok znad obuwia – czemu nikt nie sprawdził, czym w istocie jest ta... ten budyń?

Kapitan chrząknął zmieszany. Odkąd poznał Abecedyxa zdawał się być zmieszany permanentnie. Przygotowując się do odpowiedzi, sięgnął po papierosa.

– Cóż... Przyznacie chyba, Mistrzu, że to dość niedorzeczne. To znaczy, ten budyń. Ja... myślałem, że to...

– Panie Meenedrufer! Sugeruje pan, że "to" płynące po ulicy byłoby mniej niedorzeczne?

Pani Boosenhalter zachichotała zupełnie nieadekwatnie do swego wieku.

– Jak pan z pewnością widział, do zidentyfikowania budynku nie był nikomu potrzebny Sztuk Mistrz. Bez najmniejszych problemów można to było ustalić organoleptycznie. Do tego, jak sądzę, w zupełności wystarczyłyby miejscowe siły stróżów prawa, czyż nie?

– To prawda – przyznał kapitan – jednak nie zmienia to faktu, iż jego pojawienie się w dalszym ciągu pozostaje nieco, hm, tajemnicze.

– A to już zupełnie inna historia – zgodził się Abecedyx. Choć tym akurat również mogliby zająć się pańscy ludzie.

– Tym akurat zajęli się moi ludzie – oświadczył z dumą Meenedrufer. – Poleciałem sprawdzić źródło... budynku. Wiemy już, że wyciek wystąpił na kilkunastu ulicach i postępował na zewnątrz jednego, możliwego do zlokalizowania punktu. Przesłuchujemy świadków oraz prowadzimy dokładne przeszukania w okolicy, niedługo powinien pojawić się ktoś z raportem.

– Doskonale, dobra robota – pochwalił Abecedyx. – Ja ze swej strony mogę powiedzieć tylko to samo, co rano. Obecność Aury była wyraźnie wyczuwalna, jednak bez dającego się określić źródła. Być może ktoś użył Sztuki i to spowodowało wy... wypłynięcie budynku, jednakże my mieliśmy do czynienia już wyłącznie ze skutkami.

– To znaczy?

– To znaczy, że nikt w pobliżu nie stał i za pomocą Sztuki nie kontrolował fali budynku. Podobnie miała się rzecz z tymi kamienicami. Otrzymały niezwykle silny impuls, jednak potem... zrobiły już wszystko same.

Abecedyx odłożył but i sięgnął po salaterkę. Przez chwilę przyglądał się smętnie łyżeczce. W końcu, zrezygnowany, zaczął nią wywijać w tempie, które w tym przybytku mogło się skojarzyć wyłącznie z królikiem.

– Niezłe, naprawdę niezłe – pokiwał głową z aprobatą, kiedy zmęczyła mu się ręka.

– *Fhrehe* Boosenhalter – zwrócił się do milczącej damy – czy przed moim jutrzejszym wyjazdem pani wyśmienita kucharka byłaby tak uprzejma ugotować mi jeszcze trochę tak znakomitego budynku? Ten z ulicy zapewne zostanie niedługo uprzątnięty, w dodatku całkiem już wystygł. Jeśli w tym mieście wszyscy znają recepturę tak oszałamiającego deseru, myślę, że moje drogi będą tu prowadzić znacznie częściej.

Pani Boosenhalter przestała się uśmiechać i spojrzała znacząco na kapitana Meenedrufera. Kapitan również znacząco spojrzał na panią Boosenhalter. To znaczy, w oczy pani Boosenhalter.

– Heere Meister, u nasz szhe rhaczej nije rhobi *legumijene*... U nasz lubimy owhocowa *salade*, jest bahrzo popularna *zindt*. *Legumijene* rhobią *autgheebrienge*, czo przyehali z *Eestelande*. *Meister* nije whie to?

– Cóż – Abecedyx pokręcił w zamyśleniu głową – w Hurenburgu jestem pierwszy raz... Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Kapitanie Meenedrufer, czy to nie ułatwiłoby poszukiwań?

– To niewykluczone – zgodził się kapitan – jednak skąd pewność, że ma to jakiś związek?

– To rzeczywiście, tylko założenie, ale czuję, że może być trafne. Nawet dla naprawdę zdolnego Mistrza zrobienie czegoś z niczego byłoby olbrzymim wyzwaniem. Jest to możliwe, ale potwornie wręcz trudne i wyczerpujące, podczas gdy przemiana czegoś w coś innego, albo sprawienie, że czegoś, co już jest będzie więcej, albo mniej, jest już dużo bardziej prawdopodobne. Nie przypuszczam, aby którykolwiek z wielkich Mistrzów Sztuki bawił się w waszym pięknym i gościnnym mieście – Abecedyx skłonił się uprzejmie w stronę *Fhrehe* Boosenhalter – w rozpalanie zmysłów u późnokalezjańskich kamienic oraz wypuszczanie na ulice dzikiego budyniu...

...Pani Boosenhalter parsknęła i zakrztusiła się, a Kapitan Meenedrufer upuścił dopalanego papierosa. Abecedyx urwał zaskoczony i powiódł wzrokiem po obojgu.

– *Heere Meister* – pani Boosenhalter próbowała stłumić niezręczny chichocik. – Phoszę szhę nije hnecacz. Pan *zaagte* takhe suowho, czo u nasz... No, ono u nasz... – dokończenie wypowiedzi najwyraźniej wymagało przewyciężenia niespotykanego w tym fachu zażenowania. Pani Boosenhalter załopotowała rzesami, które śmiało mogłyby posłużyć do zgrabiania jesiennych liści i spojrzała na kapitana. Ten zaczerwienił się, ale chcąc jednak wyjaśnić niezręczną sytuację nachylił się do ucha Abecedyxa i poszeptał coś przez chwilę. Tym razem zmieszał się Sztuk Mistrz. I po raz pierwszy z niesmakiem pomyślał o zawartości salaterki.

– Ojej, państwo najmocniej wybaczą. Nie miałem pojęcia. W każdym razie, myślę, że należałoby zacząć poszukiwania od ludzi, o których wspomniała *Fhrehe* Boosenhalter.

– Oczywiście, Mistrzu, tylko, że jak już wspominałem... – kapitan nie dokończył. Drzwi wejściowe otwały się z rozmachem i do hollu wkroczył Asystent. Sprawiał wrażenie najbardziej ucieszonego Asystenta na świecie. W końcu wracał z wychodnego w Hurenburgu. Nie to jednak przykuwało uwagę zebranych. Na krasnoludzie pojawił się nowy element stroju, element, który rzucał się w oczy nawet bardziej, niż kwalifikacje pani Boosenhalter. Krasnolud wmaszerował dumnie w nowiuteńkim kapeluszu. Dzieło to musiało wyjść spod ręki niebanalnego rzemieślnika. Wykonany z brązowego zamszu, fantazyjnie zaciemniał twarz krasnoluda szerokim, delikatnie wywiniętym rondem. Z przodu lśniła wielka, prostokątna klamra, a całości dopełniało wetknięte zawadiacko olbrzymie, kolorowe pióro. Z całą pewnością było to nakrycie głowy napawające nosiciela dumą. Asystent aż jaśniał. *Fhrehe* Boosenhalter westchnęła w zachwycie. Abecedyx ograniczył się do uniesienia brwi. Krasnolud, najwyraźniej w pełni usatysfakcjonowany wywołanym wrażeniem, podszedł do stolika. Spojrzał pytająco na leżące na podłodze buty Abecedyxa.

– Ominęło cię niezłe przedstawienie – rzucił Sztuk Mistrz, leciuteńko tylko zabarwiając ton wypowiedzi sarkastyczną nutką.

– I chuj – powiedział krasnolud wzruszając ramionami. Pani Boosenhalter spuściła skromnie oczy, ale Abecedyx dałby sobie głowę uciąć, że uśmieszek, który przemknął przez jej pieczołowicie odrestaurowane oblicze, nic ze skromnością wspólnego nie miał. Zadziwiająco tolerancyjne miasto, pomyślał nie bez zazdrości.

Dalszą konwersację uniemożliwiło przybycie jeszcze jednego gościa. Do wnętrza zdecydowanym krokiem wmaszerował jeden z gwardzistów. Kapitan Meenedrufer natychmiast przybrał służbowy wyraz twarzy i poderwał się z fotela, aby przyjąć raport. Abecedyx próbował się chwilę przysłuchiwać, ale gwardzista

mówił "po tutejszemu", więc zrezygnował. Aby nie tracić niepotrzebnie czasu, przywołał Asystenta i, wciągając buty, zrelacjonował mu wydarzenia ostatnich godzin. Krasnolud wysłuchał wszystkiego cierpliwie, po czym bez słowa komentarza, czy choćby jednego pytania, poszedł na górę po instrumenty. Wykonując zwrot na pięcie, przejechał siedzącemu wciąż Abecedyxowi piórem po nosie. Sztuk Mistrz kichnął. Zły i rozdrażniony dostrzegł uśmiechy na twarzach pani Boosenhalter, kapitana, a nawet gwardzisty. Na Kragujevca, co ja tu robię? pomyślał z tłumioną wściekłością. Co to w końcu jest, wakacje czy jakieś zlecenie? Czy ja się w to muszę pakować? Coraz bardziej poirytowany atmosferą leniwego popołudnia ogarniającą stolik i zebrane przy nim osoby, poczuł przekorną i nieodpartą chęć działania. Kragujevcu, Mitologu, pomóżcie, niech mam to już za sobą... westchnął. Ponaglająco spojrzął na Meenedrufera. Kapitan ułowił to spojrzenie, pokraśniał i wyprostował się dumnie.

– Mistrzu – zaczął, niedbałym ruchem ręki uciszając swego gwardzistę – już wiemy, skąd to wypłynęło. Dzięki sprawności moich ludzi udało się określić epicentrum wytry... eee... e-erupcji, a nawet znaleźć świadków.

Abecedyx odetchnął z ulgą, a więc jednak coś drgnęło. Ze zdziwieniem skonstatował, że poprzez spore zniechęcenie dla całej tej sprawy, jakie żywił do tej pory, zaczyna nieśmiało wyzierać zaciekawienie.

– Dobrze, proszę mi więc opowiedzieć, co też pańscy podziwu godni wywiadowcy odkryli.

– A zatem, wy...lew miał miejsce w jednej z mniejszych kamieniczek w dzielnicy Jorgi. Straż zabezpieczyła miejsce, nie wpuszcza nikogo do środka, chwilowo zatrzymała też mieszkającą tam kobietę. Na miejscu czekają też świadkowie, będziecie mogli, Mistrzu, porozmawiać z nimi osobiście, jeśli wola.

– I owszem, chętnie. Zaczekajmy tylko chwilę na mojego asystenta i możemy ruszać.

– Ja też będę jusz poszua – wtrąciła się pani Boosenhalter. – Nie będę panowie pszeszkadzacz. *Fhrehe* wstała, prezentując wciąż siedzącemu Abecedyxowi swój wdzięk i powab idealnie na wysokości jego oczu. Sztuk Mistrz, zupełnie bezwiednie przez chwilę w milczeniu wodził wzrokiem od wdzięku do powabu i z powrotem. *Fhrehe* Boosenhalter, choć przyzwyczajona do takich reakcji bez mała od dziecka, uśmiechnęła się na myśl o prostych zasadach działania mężczyzn. Uśmiechnęłaby się jeszcze szerzej, gdyby wdzięk i powab nie zasłaniały jej tego, co siedzący Abecedyx nieporadnie i nerwowo próbował ukryć, zakładając nogę na nogę. Poruszeni byli również obaj gwardziści, jednak dzięki metalowym elementom służbowego stroju ich wzruszenie nie było aż tak widoczne.

Po chwili na dół wrócił Asystent. Weszło pogwizdując, tachał ze sobą kuferek Abecedyxa. Oczywiście, z zachowaniem najwyższej ostrożności. Sztuk Mistrz uniósł się wreszcie z fotela, nerwowo spoglądając w dół. Na szczęście Meenedrufer ze swym gwardzistą ruszyli już do drzwi, a krasnolud pytającym wzrokiem spoglądał w twarz Mistrza.

Wszyscy wyszli na ulicę. Wiosenny wieczór powitał ich ciepłym powiewem od czasu do czasu niosącym jeszcze ze sobą delikatną nutę wanilii. Jednak bruk do tej pory został już idealnie uprzątnięty. Abecedyx ponownie zadumał się nad czystością miasta. Ale, jeśli się weźmie pod uwagę, że w Hurenburgu, pomimo tak specyficznego charakteru świadczonych usług, jakoś nigdy nie były popularne niewybredne dowcipy o rybie, człowiek przestaje się dziwić?

Ruszyli rażno przed siebie na tyle, na ile pozwalały fizyczne możliwości krasnoluda. Kiedyś, na początku ich znajomości Sztuk Mistrz (który zresztą był wtedy jeszcze głupawym młodzieńcem o ego tak wyrośniętym, że sam mu się czasem kłaniał) przegonił biednego Asystenta przez kawał miasta w takim tempie, aż tamtemu popruły się spodnie. Był to poważny cios dla ich rodzącej się ówczesnie, nieokręplej jeszcze przyjaźni. Z drugiej strony w przeciągu wielu późniejszych lat współpracy Abecedyx przekonał się, że krasnoludy, choć nie są długodystansowcami, to na krótkich odcinkach bywają zabójcze.

Na szczęście również obu gwardzistom nie przyszło do głowy nadmiernie wyciągać nogi. Idąc, mijali oświetlonych latarniami przechodniów, którzy swym zachowaniem sprawiali wrażenie, jakby erupcje budynku i kopulujące kamienice przytrafiły się w Hurenburgu na co dzień. Abecedyx zastanawiał się, czy tak wolno rozchodzą się tu wieści, czy po prostu miasto i jego mieszkańcy są aż do tego stopnia uporządkowani. Na bazie dotychczasowych obserwacji skłonny był przychylić się do tej drugiej

ewentualności. Po czym do głowy przysłała mu jeszcze trzecia możliwość. Przypomniawszy sobie, co słyszał o uciekających oknami i w zaawansowanym negliżu rajcach miejskich i innych przedstawicielach śmietanki towarzyskiej Hurenburga. W takim układzie, zbytne ekscytowanie się wydarzeniami poranka mogło wielu mieszkańcom wydać się dalece nieroztropne. Toteż i do wszystkiego, co nastąpiło później lepiej podchodzić z rezerwą. A zresztą, jak się nad tym chwilę zastanowić, no to cóż? Budyń jak budyń...

Zamyślony Abecedyx, prowadzony przez Meenedrufera, dotarł wreszcie na miejsce. Od razu było widać, że to tu. Pomiędzy okazalszymi kamienicami stał niepozorny, piętrowy domek. Świeżo posadzone kwiatki w skrzynkach stojących na parapetach, ładnie odmalowane framugi i okiennice, czyste zasłonki w oknach sprawiały wrażenie domostwa skromnego, ale czystego i zadbanego. Jakoś to Sztuk Mistrza nie zdziwiło. Jednak mimo tego przytulnego, mieszczańskiego wrażenia, jakie domek sprawiał, od razu było wiadomo, że to tu... A to za sprawą dość obscenicznie lśniących resztek budynku, który ponad wszelką wątpliwość wypłynął – och, jakże by inaczej! – kominem, spłynął po czerwonych dachóweczkach, przelał się przez rynny i, niczym już nie zatrzymywany, ruszył w dół ulicy, skręcając w również opadające lekko przecznice po prawej stronie. W środku paliło się światło i przez nie do końca zasłonięte okna Abecedyx dostrzegł siedzącą przy stole jakąś kobiecinkę, dwóch gwardzistów i jeszcze kilka osób, prawdopodobnie wzmiankowanych świadków.

To by było na tyle, jeśli chodzi o nie wpuszczanie nikogo do środka, pomyślał z goryczą. Kapitanowi Meenedruferowi nie sposób było odmówić doświadczenia i wzorowego przygotowania do służby. Także i jego ludziom. Myślenie jednak nie w każdym zawodzie było cnotą, co gwardziści udowodniali regulaminowo.

– To tu – zakomunikował Meenedrufer. – To dom *Fhrehe* Jelke, Mistrzu. Pilnują jej moi ludzie.

– Tak, zauważyłem – westchnął zrezygnowany Abecedyx. – Pozwólcie, kapitanie, że najpierw rozejrzę się tu na zewnątrz. Odnoszę wrażenie, że przechodziło tędy mniej ludzi, niż siedzi wewnątrz.

Słyszając tę wymianę zdań, krasnolud postawił delikatnie kufer i wziął się za jego otwieranie. Abecedyx powstrzymał go jednak ruchem ręki.

– Daj spokój, przyrzędy tu nic nie wykażą.

– I chuj – mruknął krasnolud, odsuwając się od kufra. Splótł ręce za plecami i zaczął bujać się na piętach, pogwizdując. Meenedrufer poczuł się odrobinę zdezorientowany i uznał, że najlepiej, jeśli póki co uda, że go tu nie ma. Drugi gwardzista poszedł w ślady swego przełożonego.

Tymczasem Abecedyx zaczął uważnie sondować okolicę. Czasami bywał zawzięty, a najczęściej z przekory, kiedy nic się nie chciało układać po jego myśli. Tym mocniej więc postanowił rozwikłać tę cholerną zagadkę, ale do tego potrzebny mu był trop. I to wyraźniejszy, niż ten poranny, z gruzowiska. Stał przed domem, spojrzał w górę. Z rynien wciąż jeszcze zwisały białawe glutny. To dawało jakieś nadzieje, ale nie za wielkie, prawdę powiedziawszy. Tak jak przypuszczał, emanacja Aury była zbyt niska, aby cokolwiek sensownego dało się stwierdzić na podstawie wskazań przyrządów. Przy silniejszym polu były nieocenione, ale w tej sytuacji jedyne, na czym Abecedyx mógł polegać, to nos i doświadczenie. Badając lekko już przyschnięte sople, wyczuł podobne emanacje co i rano. Wzruszenie Aury, najprawdopodobniej jakąś ingerencję Sztuki, ale bez jakiegokolwiek wskazania, bez najdrobniejszych chociaż śladów, jakie pozostawiał przecież każdy Mistrz. I zawsze były to ślady indywidualne dla owego Mistrza. Tymczasem wszystko wskazywało albo na spontaniczny wykwit Aury, albo... Abecedyx chwilę oswajał się z tą myślą, albo Sztuki użył ktoś, kto na Aurę nie oddziałuje. Sztuk Mistrz obejrzał się i spojrzał na wciąż kiwającego się bez troski Asystenta. Czy to możliwe? – spytał sam siebie w duchu. Czy to możliwe, aby krasnolud posłużył się Sztuką? Chyba nikt tego nigdy nie próbował, ale gdyby spróbować, to kto wie, co mogłoby się stać? Wprawdzie krasnoludy nie przejawiają żadnego zainteresowania Sztuką, ale zawsze musi się zdarzyć jakiś wyjątek. Bo tak naprawdę, kto powiedział, że niewrażliwość na Aurę nie pozwala na opanowanie Sztuki?

Abecedyx stał chwilę oszołomiony wnioskami, do jakich doszedł. Kiedy jednak uświadomił sobie, że wyciągnął je zdecydowanie zbyt pochopnie, otrząsnął się z zamyślenia i gestem przywołał zarówno Asystenta, jak i stojących niecierpliwie opodal gwardzistów.

– Niewiele – zaczął wyjaśniać Meenedruferowi, który pomimo iż bardzo się starał i tak wyglądał jak świeżo upieczony ojciec, który czeka na wiadomość do kogo podobny jest dzieciak. I czy w związku z tym ma się cieszyć, czy jednak złożyć wizytę sąsiadowi. – Niewiele, jak mówię. Aura ledwie trącona, ani śladu czyjejś działalności. Kapitanie, chyba jednak będę musiał oprzeć się na tym, co powie nam pani... pani...

– Jelke – pospieszył z podpowiedzią Meenedrufer. Wyraźnie było widać, jak bardzo jest zawiedziony. Po chwili zorientował się jednak, że to z kolei szansa dla niego, natychmiast więc wprowadził Abecedyxa z Asystentem do wnętrza małego domku. *Fhrehe* Jelke jak do tej pory najwyraźniej nikt nie wytłumaczył, o co chodzi. Biedna kobiecina siedziała na kuchennym krześle i ze splecionymi na podolku rękoma kiwała się żałośnie, coś tam sobie biadoląc pod nosem. Kiedy Sztuk Mistrz wszedł do środka, nie podniosła nawet wzroku, za to ożywili się świadkowie, póki co również trzymeni w kuchni. Abecedyx nie zwrócił jednak na nich uwagi i od razu podszedł do pani Jelke. Przykłęknął przed nią i uspokajająco położył rękę na jej dłoniach. Kobiecina dopiero teraz uniosła głowę i spojrzała na Mistrza.

– *Fhrehe* Jelke... – zaczął Abecedyx, ale kobieta natychmiast pokręciła głową.

– *Gospodine, ja tudzinka... Ja ne razumem...*

– *Gospodzio* Jelke – uśmiechnął się Mistrz płynnie przechodząc na jej język – *Opovete mi nešto...*

Reszta zebranych osób słuchała tej rozmowy w skupieniu, choć nikt nie rozumiał ani jednego słowa. Meenedrufer był kompletnie zaskoczony, nie spodziewał się, że Abecedyx zdoła się w jakikolwiek sposób porozumieć z *Eestelandene autgheebrienge*, jaką w rzeczy samej była *Fhrehe* Jelke. Tymczasem Mistrz wdał się ze starszą panią w swobodną pogawędkę, co więcej widać było, że poprawił jej się humor. Kilka razy uśmiechnęła się, ożywiła i zaczęła opowiadać o czymś zupełnie swobodnie. Abecedyx słuchał jej z uwagą, od czasu do czasu wtrącając tylko jakieś monosylaby. Wreszcie Mistrz powiedział coś, po czym *Fhrehe* Jelke umilkła i pokiwała tylko głową. Abecedyx wstał.

– Kapitanie – zwrócił się do Meenedrufera – chyba coś mamy. Miałbym jednak prośbę. – Mistrz uśmiechnął się w taki sposób, że gwardzista natychmiast zrozumiał, iż słowo "prośba" zostało użyte wyłącznie w charakterze kurtuazyjnym. – Wszystko panu wyjaśnię, jednak w tej chwili chciałbym, aby zabrał pan stąd swoich świadków. Raczej nie będą mi potrzebni.

– Cóż, mamy zanotowane ich dane, zresztą wszyscy mieszkają w okolicy, nie będzie problemu, gdybyście, Mistrzu, zechcieli porozmawiać z nimi później. Tak, na wszelką ewentualność, oczywiście.

– Oczywiście. To jednak nie wszystko...

– Tak?

– Potrzebuję, aby zabrał pan stąd również swoich ludzi, a sam udał się wraz z nimi.

– Jak to? Jesteśmy odpowiedzialni za porządek w tym mieście i wszystko, co tego dotyczy, dotyczy również mnie i moich ludzi. Nie mogę spełnić tej prośby.

– Och, może pan, może. Co więcej, sam pan tego zechce, w przeciwnym wypadku wyjdę ja. I będzie to oznaczało koniec mojego zainteresowania tą sprawą. Widzi pan, ja nie jestem tu za nic odpowiedzialny, nie mam żadnego interesu w rozwikłaniu tej zagadki, więc nic nie tracę, pozostawiając ją w takim stanie, w jakim jest.

– Czy to szantaż?

– Cóż to za głupie pytanie! Oczywiście, że nie. Uświadamiam tylko panu, że umożliwienie mi załatwienia wszystkiego w taki sposób, jaki uznam za najlepszy, oszczędzi panu wielu kłopotów i zmartwień o porządek w Hurenburgu. Proszę się zastanowić, co pan zrobi, jeśli wieża ratuszowa zamieni się w coś

obscenicznego? Albo wszystkie drzwi w mieście zamiast skrzypieć, zaczną wydawać nieprzystojne westchnienia?

– Jak to, Mistrzu, czy to możliwe?

– Równie możliwe, jak to, że późnokalezjańskie kamieniczki zapałają do siebie żądzą nieprzystojną budynkom, a z komina pani Jelke wytryśnie budyń, jakkolwiek niestosownie by to nie zabrzmiało. Pan mnie pyta, kapitanie, czy to możliwe, a ja panu odpowiadam – nie. Ale się zdarzyło. A następny budyń, choć to też niby niemożliwe, może być już całkiem dziki...

Abecedyx umilkł, słysząc tłumione parsknięcia gwardzistów i nieco zdezorientowanych, świadków. Kiedy powiódł spojrzeniem wokół, wszyscy natychmiast przypomnieli sobie o istnieniu czubków butów oraz o tkwiących w nich palcach, którymi zaczęli zawzięcie ruszać. Zupełnie, jakby ćwiczyli wspólnie od miesięcy. Wiele krążyło opowieści o Mistrzach, ale jakoś żadna nie wspominała o poczuciu humoru. W niektórych natomiast przewijały się zaby.

– Dobrze – powiedział Abecedyx, zacierając ręce. – Skoro mamy to już ustalone, najwyższy czas, aby wcielić słowa w czyn. Kapitanie, podejrzewam, że czas może mieć niemałe znaczenie, prosiłbym więc o odrobinę pośpiechu.

Meenedrufer bardzo wyraźnie manifestował swoje niezadowolenie. Nie było to wprawdzie paniczne niezadowolenie kury wywołane widokiem pieńka, przejawiało się raczej mrużeniem pod nosem, fukaniem i złymi spojrzeniami, niemniej kapitan spełnił prośbę Abecedyxa. Na kłótnię ze Sztuk Mistrzem nie miał ochoty. Przeczował niejasno, że żaba nie jest jeszcze najgorszą rzeczą, jaka może się człowiekowi w życiu przytrafić, a kapitan gwardii miejskiej to w żadnym wypadku niewystarczająca ranga, by powstrzymać Mistrza przed utratą cierpliwości.

Kiedy wszyscy wyszli, Abecedyx polecił Asystentowi ukrycie kuferka z instrumentami, a jego samego wysłał przez prowadzące z kuchni drzwi do pilnowania ogródka. Sztuk Mistrz między innymi dlatego dumnie mienił się prawdziwym Mistrzem, iż ze Sztuki korzystał możliwie najrzadziej. Doskonale znał przykłady zbyt ufnych w Sztukę Mistrzów, których kości nie miały nawet szansy zbieleć. I żył na świecie wystarczająco długo, by wiedzieć, że każdy system działa o wiele lepiej, jeśli posiada odpowiednie zabezpieczenie. A lepszego zabezpieczenia niż Asystent Abecedyx nie znał. Kiedy za krasnoludem zamknęły się drzwi, Abecedyx ustawił sobie krzesło tak, aby dokładnie widzieć drzwi do ogródka oraz wejściowe, samemu nie będąc widzianym przez żadne z okien. A potem rozpoczął pogawędkę z *Fhrehe* Jelke, aby zarówno sobie jak i jej umilić oczekiwanie.

Oczywiście, jak każdą miłą i niezobowiązującą rozmowę zaczęli od życzeń pomyślności dla wszystkich żyjących i nieżyjących członków rodziny. W Hurenburgu z pewnością był to obyczaj kompletnie obcy, jednak Abecedyx doskonale znał zarówno język, jak i zwyczaje panujące w Pogoriczce Krajynie, skąd pani Jelke pochodziła. Zresztą, jak się okazało, w rzeczywistości nie nazywała się Jelke, a Jolkova, jednak po przybyciu do Hurenburga, gdzie przez długie lata prowadziła jedną z najporządniejszych w mieście pralni, zmieniła nazwisko na brzmiące bardziej "po tutejszemu". Było to posunięcie o tyle zadziwiające, że pomijając terminologię potrzebną jej w pracy, pani Jolkova kompletnie nie "zaagte po naszymu", jak powiedziałyby *Fhrehe* Boosenhalter.

I Abecedyx dziękował za to z całych sił Kragujevcowi, bo to uniemożliwiło gwardzistom przesłuchanie biednej starowinki. A co ważniejsze, nikt jej nie wyjaśnił, o co chodzi, przez co Sztuk Mistrz mógł jej powiedzieć dokładnie i tylko tyle, ile uznał za przydatne. Miejscami zresztą odrobinę rozmijając się z prawdą. Pani Jolkova vel Jelke opowiadała o sobie chętnie, czego Abecedyx wysłuchiwał z wystudiowaną cierpliwością, oraz jeszcze chętniej o utrzymującym ją synu, czego Abecedyx słuchał ze z trudem maskowaną ciekawością. Zoltan Jelke, sądząc z opowieści jego matki, musiał być wyjątkowo wspaniałym młodzieńcem. Młodzieńcem w trudnym do wywnioskowania wieku, jako że pani Jolkova mówiła o nim, jakby chodziło jej o kilkunastoletnie pachole, co – biorąc pod uwagę wiek jej samej – wydawało się mało prawdopodobne. Abecedyx obawiał się, że słodki i wszechstronnie uzdolniony Zoltancze może w rzeczywistości okazać się starszy od jego kuferka. Co tylko potwierdzało zasadność rozstawienia krasnoluda w ogródku. Tak, na wypadek, gdyby *mladić* nie chciał na spokojnie wyjaśnić swej roli w całym dzisiejszym zamieszaniu.

Póki co jednak, Mistrz został zapewniony o dozgonnej miłości, jaką tamten żywił do swej matuli, o jego

złotym sercu, co z pewnością wynikało ze starannie wybranego imienia, o licznych zaletach ducha i umysłu, oraz o nadzwyczajnie dobrym wychowaniu, które pomogło Zoltanowi zachować nieskalaną przyzwoitość w tym, nie całkiem podążającym ścieżkami moralności, mieście. Abecedyx słuchał tego wszystkiego starannie, filtrując każdą napływającą informację. Przed oczami zaczął rysować mu się obraz mężczyzny żyjącego pod jednym dachem ze starą matką w mieście, w którym słowo "cnota" oznaczało tyle co "dawno, dawno temu, za siedmioma górami, za siedmioma lasami...". Być może zakompleksionego. Być może sfrustrowanego. Być może idealnego, spokojnego sąsiada. Do czasu.

Abecedyx zaczął delikatnie wypytywać panią Jelke o wydarzenia minionego dnia. Bez większego zaskoczenia przyjął wiadomość o tym, że Zoltan nie czuł się chyba najlepiej. Był rozdrażniony, pół nocy przesiedział w swoim pokoju, zamknął się w nim również po południu. Potem jakoś tak wybiegł z domu, ale pani Jelke nie zwróciła na to baczniejszej uwagi, bo na kuchni właśnie wykłapał jej budyń, który szykowała synkowi na podwieczorek. Sztuk Mistrz pomyślał, że chętnie obejrzałby sobie pokój Zoltana, ale...

...Ale Zoltan wrócił do domu. Meenedrufer był człowiekiem słownym, nie zostawił w okolicy żadnego widocznego gwardzisty, *mladić* wszedł więc do domu niczym nie zaniepokojony. Od razu okazało się, że faktycznie bliżej mu do kuferka, niż *mladicia*.

– *Dobar večer* – powiedział Abecedyx wstając z uśmiechem szerokim jak dekolty pani Boosenhalter. – *Kako si, Zoltane?*

Mężczyzna był mocno zdezorientowany, jednak serdeczny uśmiech jego rodzicielki sugerował, że nie ma powodów do obaw.

– *Dobar, dobar...* – odparł niepewnie i uściśnął wyciągniętą do powitania dłoń obcego, który – nie wiedzieć czemu – uśmiechał się jak grabarz do zarazy. Tamten oddał uścisk i, nie wypuszczając dłoni Zoltana, poklepał go po ramieniu, robiąc przy tym krok w bok, jakby chciał obrócić ściskanego do światła. Wciąż oszołomiony spotkaniem Zoltan nie zauważył, że obcy ustawił się dokładnie między nim, a drzwiami.

– *Zoltane* – zaczął tamten – *Dovol, da prašam. Štoj si pravio denes? Nociu i odpoledne?*

Zoltan natychmiast zrozumiał. I zareagował prawidłowo, zadając jednak kłam zapewnieniom swojej rodzonej matki, o dobrym wychowaniu, jakim to niby miał się kierować. Wiedząc, że nie ma szans na wyrwanie swej ręki, z całej siły nadepnął Abecedyxowi na stopę. Mistrz dłoni Zoltana wprawdzie nie puścił, ale zwolnił swój uścisk na tyle, że tamten mógł się już wyswobodzić. A wtedy rzucił się w kierunku drzwi do ogródka. Abecedyx spokojny o dalszy przebieg wypadków, opanował się jako tako i wolno ruszył za uciekającym. I tu plan się sypnął. Obaj dostrzegli to prawie równocześnie. W oknie wychodzącym na ogródek. Mniej więcej na wysokości parapetu. Opierające się o szybę. Widoczne do bólu. Pióro.

Abecedyx zawył w duchu. Zoltan, nie mając pojęcia, co to w rzeczywistości oznacza, poczuł jednak instynktownie, że śmierdzi to pułapką. Zanim Sztuk Mistrz ochłonął z zalewającej go fali wściekłości Zoltan wykonał błyskawiczny w tył zwrot i rzucił się na zagrażającego mu drogę mężczyznę. Potężnym pchnięciem obu rąk powalił go na podłogę, pani Jelke krzyknęła, a Zoltan, przeskoczywszy nad upadającym, dopadł drzwi na ulicę, szarpnął je i rzucił się na dwór. W każdym razie z pewnością taki miał zamiar. Dopóki jak spod ziemi nie wyrósł przed nim... no, w każdym razie pojawił się... krasnolud z wrednym uśmiechem, którego nawet gęsta broda nie mogła ukryć.

A potem Zoltan wrócił do domu. Lotem koszącym ławeczkę i opartą pod ścianą miotłę. Abecedyx, jako ten mniej uszkodzony podniósł się pierwszy. Mocno zdumiony, patrzył na wciąż uśmiechniętego Asystenta. Krasnolud wkroczył do środka, zamknął za sobą drzwi, po czym bez słowa przemaszerował przez całą izbę, otworzył drzwi do ogródka i z opartej o ścianę motyki zdjął kapelusz. Zadowolony jak kot w fabryce śmietanki wcisnął go na głowę.

– Nie odmawiam ci skuteczności – wychrypiał Abecedyx – ale mogłeś mnie uprzedzić. Mogliśmy to lepiej rozegrać.



– I chuj – powiedział krasnolud, czując już, że na więcej pochwał nie ma co liczyć.

Abecedyx ruszył w kierunku pojękującego na podłodze Zoltana, ale z zaskakującą zwawością wyprzedziła go pani Jelke. Oczywiście, biadoliła przy tym okrutnie.

– *Ništo ne se sluči* – spróbował ją uspokoić Mistrz – *ima malku vrtoglavica, da poleži spokojno pet minuta*. Roztrzęsiona staruszka nie była jednak w stanie tak po prostu uspokoić się zaraz po tym, jak ktoś skrzywdził jej syneczka. Abecedyx uznał więc, że najlepszym wyjściem będzie poczekać. Zoltan i tak nie był chwilowo zdolny do ucieczki. A jak już się ocknie, będzie mógł dokładnie go o wszystko wypytać. Dał znak Asystentowi, aby miał baczenie na tę dwójkę, a sam poszedł wreszcie na piętro, pomyszkować sobie spokojnie w pokoju Zoltana.

\*\*\*

– Zoltan Jelke? – Meenedrufer najchętniej wybuchnąłby śmiechem. Oczywiście, gdyby nie oznaczało to wybuchania śmiechem w twarz Sztuk Mistrza. A kapitanem gwardii w Hurenburgu nigdy nie zostawało się poprzez zamiłowanie do ryzykanctwa i balansowanie na granicy utraty cielesności. – To głupek! W mieście wszyscy go znają, niegroźny facet.

– Ja wcale nie twierdzę, że jest groźny. Proszę posłuchać, myślę, że pan zrozumie, a pani z pewnością tym bardziej – Abecedyx skłonił swą błyszczącą głowę w stronę pani Boosenhalter. Cała trójka siedziała przy tym samym stolczku, co kilka godzin wcześniej. *Fhrehe* postarała się o wyborną herbatę, Meenedrufer przyniósł dwa przedniej jakości cygara. Spotkanie miało charakter nieformalny, nawet kapitan był tu już niemalże prywatnie. Skończył służbę, następny dzień miał wolny. Abecedyx chciał wyruszyć z miasta rankiem, więc Meenedrufer delikatnie nagiął procedurę, aby nie zatrzymywać Sztuk Mistrza do złożenia wyjaśnień. Spotkali się przy cygarze, a Meenedrufer obiecał, że sam już sporządzi raport. Wiele nie ryzykował, w końcu, kto by wątpił w słowa Sztuk Mistrza?

– Pani Jolkova przybyła do Hurenburga przed laty, to państwo wiedzą – zaczął wyjaśnienia Abecedyx. – Wyjechała z ojczystego kraju na skutek pewnych tragicznych wydarzeń, o których nie będziemy tu teraz mówić. Dość powiedzieć, że w ich wyniku była kobietą samotną, obarczoną kilkumiesięcznym dzieckiem. Miotana różnymi podmuchami losu trafiła do Hurenburga, tu osiadła i tu dorastał jej syn. Wyrosłej w zgoła innej kulturze nie do końca przypadły jej do gustu hurenburskie obyczaje, co odbiło się dość znacząco na wychowaniu syna, które stało się dla niego ni mniej ni więcej, a nieznośnym ciężarem. Jak do tej pory wszystko jasne, mam nadzieję? Dobrze.

Zoltan to naprawdę miły i zdolny człowiek. Myślę, że większość pochwał, jakie pani Jolkova wygłosiła pod jego adresem, może nawet być prawdą. Niestety, poza zaletami ma również poważnie nurtujący go problem. Otóż, co zdaje się jest jasne, z racji tego, co już powiedziałem, Zoltan nie ma za grosz śmiałości do kobiet. W wielu innych miejscach na ziemi nie byłoby to aż tak bardzo męczące, ale tu? W takim mieście? W jego pokoju znalazłem dowody naprawdę ogromnej frustracji – Abecedyx pomyślał o ukradkiem przejętej i naprawdę imponującej kolekcji grawerowanych tabliczek. Zoltan musiał je zbierać latami. Mistrz miał tylko nadzieję, że krasnolud nie zaprotestuje przeciwko dodatkowym kilogramom w kuferku. Tym bardziej, że oprócz tabliczek wylądowało w nim coś znacznie cięższego. W dodatku o wiele, wiele cenniejszego.

– Nie będę jednak ujawniać zbyt wiele – kontynuował Mistrz – dyskrekcja jest jedną z największych cnót mieszkańców tego miasta, co i ja chętnie uszanuję. W każdym razie, nietrudno się domyślić, że w końcu musiało dojść do, hm... nazwijmy to – kulminacji. Zoltan, jak wielu ludzi na wiosnę, zapalał wielką, płomienną miłością. Niestety, jako że wielkie uczucia nie wybierają, pech chciał, iż umiłowaną jest jedna z piękniejszych, ale i najbardziej zapracowanych dziewcząt w tym mieście. Zoltan miał świadomość dwóch rzeczy: po pierwsze, że ktoś tak adorowany, piękny i kochany nigdy nie zwróci na niego uwagi i po drugie, że nawet gdyby stał się taki cud, jego matka nigdy nie pogodziłaby się z TAKĄ narzeczoną. Miłość nie takie problemy potrafi ponoć zwyciężyć, więc Zoltan umyślił sobie, że sprowadzi dziewczynę na dobrą drogę. Jednak w tym celu musiał ją w sobie rozkochać. Oceniając swoje szanse w konwencjonalnym starciu na równe zero, postanowił użyć miłosnego zaklęcia. O ile udało mi się

dowiedzieć, kosztowało go to wiele trudu, niemniej w jakiś sposób udało mu się odpowiednie zaklęcie opanować...

– Myślałem, że to niemożliwe! – przerwał Meenedrufer. – Przecież trzeba być Mistrzem aby...

– Tak, tak, jasne – machnął niecierpliwie ręką Abecedyx. – Tak samo, jak trzeba być gwardzistą, żeby patrolować ulice, prawda? Tylko, czy pan, kapitanie, urodził się w swym błyszczącym kasku i kirysie? Ze swym dumnym rapierem przytroczonym do różowiotkich bioderek? Bo ja, na przykład urodziłem się z włosami, a jak byłem mały, to chciałem zostać marynarzem. Reszta przyszła później.

Oczywiście, Sztuka jest potężną panią i trzeba być Mistrzem, aby ją rozumieć i aby móc z niej korzystać umiejętnie. Ale nie trzeba być strategiem prowadzącym wojny, aby nauczyć się strzelać z kuszy...

Tak więc Zoltan opanował zaklęcie. A w każdym razie myślał, że opanował. Nawiasem mówiąc, jego przykład pokazuje wyraźnie, dlaczego Sztuki należy używać rozważnie. Zaklęcie, którego użył jest dość potężne, rzucane przez osobę niedoświadczoną bardzo łatwo może wymknąć się spod kontroli. Efekty widzieliśmy. Dodam tylko, że próbował dwa razy...

Zarówno kapitan Meenedrufer, jak i pani Boosenhalter szybko dodali dwa do czterech. *Fhrehe*, w miłosnych bojach i uniesieniach doświadczona jak mało kto, uśmiechała się tylko. Kapitan głośno wciągnął powietrze, po czym z przeciagłym sykiem wypuścił je przez zęby.

– A więc to tak... to dlatego. To huncwot! – wykrzyknął, podobnie jak pani Jelke zapominając, że mowa o czterdziestoletnim mężczyźnie. – Nie wyjdzie, oj nie wyjdzie on z *haaltenkeller* za szybko. Odechce mu się miłostek, niewydymkowi jednemu!

Abecedyx spojrział w oczy pani Boosenhalter. Oboje zgodnie pokręcili głowami z dezaprobatą. Smutnawy uśmiech *Fhrehe* sugerował prośbę, której nie było potrzeby wyrażania na głos.

– Właściwie, kapitanie, jakie zarzuty miejska gwardia zamierza postawić Zoltanowi?

Kapitan nerwowo zamachał cygarem, rozsiewając wokół paprochy popiołu.

– Jak to? To przecież wandal i niszczyciel! Jest winien zawalenia się dwóch kamienic, zanieczyszczenia kilku ulic oraz poważnego zaburzenia porządku miejskiego. U nas, w Hurenburgu, dbamy o porządek, takie rzeczy nie mogą nikomu ująć płazem!

– Ale jak rozumiem, główny problem leży w stratach materialnych, prawda?

– No, oczywiście! Przecież takie późnokalezjańskie kamienice, to nie jakieś tam szopy z patyków. To majątek.

– No dobrze... A przypuśćmy, kapitanie, że szkody materialne zostałyby pokryte. Choćby i przez kogoś innego. Co wtedy?

– Wtedy? No... zostałyby naruszenie porządku publicznego.

– Co za to grozi?

– W najlepszym wypadku grzywna, w najgorszym...

– Najgorsze wypadki nas nie interesują. Przypuśćmy, że stać mnie będzie na zapłacenie grzywny, pokrycie odszkodowania i złożę poręczenie za Zoltana...

Pani Boosenhalter głośno westchnęła. Obaj mężczyźni spojrzeli na nią. Oczy mocno jej błyszczały. Speszona, wyciągnęła z rękawa sukni przepięknie haftowaną chusteczkę wielkości niewielkiej cygarniczki i zaczęła osuszać kąciki oczu. Dopiero widząc tę scenę, Meenedrufer zrozumiał, o co chodzi.

– No tak. Hmf... no tak... cóż... Ehm, w takiej, eee... sytuacji, myślę, że sprawę udałoby się załatwić z uwzględnieniem wszelkich okoliczności łagodzących. Oczywiście, odszkodowanie jest sprawą bezdyskusyjną, chyba żeby właściciele domów nie wnieśli skargi. Na to chyba jednak nie możemy liczyć...

– Ja również na to nie liczę – przyznał spokojnie Sztuk Mistrz.

– Natomiast co do grzywny... to bywały przypadki zastosowania surowego pouczenia. Tak, myślę, że przypominam sobie takie precedensy.

– Jest pan, kapitanie, człowiekiem niedoścignionej wiedzy, nieskalanego honoru i wielkiego serca – uśmiechnął się Abecedyx. Meenedrufer zamilkł, był człowiekiem, który nie wiedziałby, co począć z komplementem nawet gdyby go dostał na talerzu z dołączoną dokładną instrukcją spożywania.

– Ale to chyba nie koniec naszej sprawy – Sztuk Mistrz zwrócił się z kolei do *Fhrehe* Boosenhalter. – Miałbym również prośbę do pani. Pomimo iż wiem, że jest pani osobą wyjątkowej szlachetności, nie chciałbym narażać pani samej, ani jej gościnnego domu na wydatki. Pozwolę więc sobie zostawić u pani małą zaliczkę, w zamian którą prosiłbym o przygarnięcie Zoltana raz na jakiś czas. Oczywiście, dyskretnie, nie chcemy przecież zadzierać z panią Jelke, prawda? Zdaję sobie sprawę z tego, że nie załatamy w ten sposób kwestii pękniętego serca, niemniej Zoltan jest już wystarczająco dojrzałym mężczyzną, aby umożliwić mu mniej bolesne sposoby walki z trądziakiem. Myślę, że dzięki temu nie będzie więcej zagrażał spokojowi miasta.

Pani Boosenhalter nie odpowiedziała. Po raz kolejny jednak uśmiechnęła się, od którego to uśmiechu Abecedyxowi zrobiło się tu i ówdzie miękko, a gdzie indziej wręcz przeciwnie. Bo był to uśmiech, przy którym wdzięk i urok pani Boosenhalter bladły niczym płomyk świecy w pełnym słońcu, i przy którym każdy mężczyzna zapominał, że kobieta może się składać z czegoś więcej niż tylko z uśmiechu. Abecedyx pomyślał, że raczej jednak nie wyjedzie z samego rana.

\* \* \*

Słońce stało już dość wysoko, kiedy niewielki, dwukonny gąg wytoczył się na trakt pozostawiający Hurenburg za plecami. Na koźle siedział łysy mężczyzna w czarnym stroju, a obok niego krasnolud w kapeluszu z fantazyjnym piórem. Krasnolud majtał nogami i pogwizdywał. A z tyłu, przytroczony skórzanymi pasami jechał podróżny kuferek Sztuka Mistrza. W kufierku spała koszatniczka, pobrzękiwały grawerowane tabliczki. I spoczywała Księga. Jedyna Księga z zaklęciami, jaką Abecedyx kiedykolwiek widział i o jakiej kiedykolwiek słyszał. Księga, którą Zoltan Jolkov odziedziczył po swym ojcu, którego nigdy nie poznał. Księga, którą Zoltan Jolkov nie bez bólu, ale jednak oddał w ręce Abecedyxa jako zadośćuczynienie za wyrządzone miłosnym zaklęciem szkody.